

MAGNA
POLSKA

Teodor Jeske-Choiński

PO CZERWONYM ZWYCIĘSTWIE

darmowe e-wydanie

PO CZERWONYM ZWYCIĘSTWIE

© Copyright by Magna Polonia

Skład, okładka i redakcja – Linda Zyga

Fundacja Magna Polonia
ul. Uroczą 16
41-400 Mysłowice

strona internetowa: sklep.magnapolonia.org
mail: kontakt@magnapolonia.org
telefon: (+48) 729 977 856

Mysłowice 2023 r.

ISBN 978-83-67650-19-9

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI

**PO CZERWONYM
ZWYCIĘSTWIE**

WYDAWNICTWO
MAGNA POLONIA
2023 R.

I.

Przystroiliła się Warszawa, jak kwitnący łąn, zasiany polnymi makami. Z wszystkich okien i balkonów, ze słupów telegraficznych, z drucianej siatki tramwajów elektrycznych i z wież kościołów zwieszały się flagi czerwone. Dokądkolwiek zwróciło się oko, wszędzie olśniewał je blask czerwoności. Bukiety czerwonych róż zdobiły okna sklepów i sklepików; czerwone kokardy, czerwone krawaty, czerwone wstążki i pióra popstrzyły krwawymi plamami szare tło roboczego ludu, który zajął zbitą, gęstą masą chodniki ulicy Marszałkowskiej, od Saskiego ogrodu począwszy aż do placu przed dworcem Warszawsko-Wiedeńskiej kolei.

Na kogóż to czekał ten lud roboczy, zmieszany z proletariatem inteligentnym i półinteligentnym, w ciszy, w skupieniu wytężonej ciekawości? Kogóż chciał powitać czy oddać mu cześć ostatnią? Tylko przyjazd jakiejś niezwyklej osobistości lub pogrzeb jakiegoś dla kraju wielce zasłużonego męża wywabiał dotąd na ulice Warszawy takie tłumy nieprzeliczone.

Wtem doleciał od Saskiego ogrodu przenikliwy świst, który uderzył prądem elektrycznym w nieruchomy, żywy szpaler. Tłum drgnął, poruszył się; nad czerwonymi kokardami, piórami, krawatami, przepłynął szmer stłumionych głosów:

– Idą!

Szli pieszo książęta, księżne, książątka, szli hrabiowie, hrabicz, hrabiątka, szli panowie i panie z towarzystwa, utytułowani i nieutytułowani, a każdy z panów, każda z pań, każde z dzieci niosło, wlokło jakąś walizkę, jakiś węzełek. Co kilkanaście kroków przystawali, ocierając pot z czoła, chwytając powietrze zmęczonymi płucami.

Bawiło to ogromnie towarzysza Dyndałę, tragarza kolejowego. Codziennie, kilka razy na dzień od lat dwudziestu, dźwigał on kufry i kosze podróżnych, ważące trzydzieści, a czasami i ponad czterdzieści kilogramów. Z początku załamywał się pod ich ciężarem, pocił się, męczył, z czasem jednak włożył się w ciężką robotę i teraz zarzuca na plecy

najcięższy kufer i maszeruje z nim do powozu, do dorożki z taką swobodą, jak gdyby niósł dwuroczne dziecko.

– Angielskie pieski – perorował. – Marnej kuferczyny dźwignąć nie umieją, z walizką zataczają się, jak pijani, a chcieli rozkazywać, rządzić, uczyć robotnika rozumu. Nygusy, zdechlaki! Skończyło się wasze państwo, fora ze dwora, teraz my górą.

Włożył dwa palce pomiędzy zęby i świsnął przeraźliwie. Zawtórował mu cały legion uliczników, roznosiciele gazet i andrusów znad Wisły. Lokaje wysunęli się z tłumu na środek ulicy i dmuchali swoim byłym panom, swoim byłym paniom pod sam nos kłęby dymu tytoniowego; stangreci¹, wzięwszy się pod boki, śmiali się na całe gardło: ha, ha, ha! modniarki, prasowaczki, praczki chichotały: hi, hi, hi!...

Cała zawiść wydziedziczonych, odtrąconych od pełnego, biesiadnego stołu rozkoszy zmysłowych, do uprzywilejowanych życia, do bogatych, gwizdała, śmiała się, chichotała w tej kociej muzyce.

– Piechotką drałujecie, sami kufereczki niesiecie? Smakuje wam, jaśnie oświeceni, jaśnie wielmożni, wielmożni? – drwił towarzysz Skowron, stangret książęcy – Wasze karety i powozy będą teraz wywoziły z miasta śmiecie i nieczystości, wasze paradiery² będą służyły naszym magazynom. Krzyżyk na drogę, wałkonie!

Chłostani gwizdaniem, drwinami, obelgami i śmiechem urągliwym, przyspieszali arystokraci kroku. Wydostać się jak najprędzej z tego piekła, przecisnąć się jak najprędzej przez to jarzmo Kaudyńskie... Jeszcze kwadrans tej Kalwarii, a zasiądą w bezpiecznych wagonach i ruszą w świat, gdzie ich strach poniesie, byle jak najdalej od tej swawoli.

Jeszcze arystokraci nie zdążyli dotrzeć do dworca, kiedy się tłum zakotłosał, jak fala morska, trącona skrzydłem wichru, i przebiegł nad nią, jakby głuchy pomruk zbliżającej się burzy.

Oto postępowali za arystokratami długim szeregiem: fabrykanci, bankierzy, spekulanci giełdowi i budowlani, hurtownicy różnego gatunku, wydawcy, bogaci kupcy, lichwiarze, kamienicznicy, wszelakiego rodzaju żarliwi słudzy złotego cielca, w jego świątyni. I oni uciekali przed zwycięskim socjalizmem, a uciekali w trwodze z dygocącymi sercami, z drżącymi łydkami, niepewni do ostatniej chwili życia, wiedzieli

¹ stangret – służący powożący końmi w bryczce, karecie itp. Słownik języka polskiego PWN.

² paradiery, daw. – piękny, pokazowy koń. Słownik języka polskiego pod red. W. Doroszewskiego.

bowiem, że na ich to głowy przeklęte spadała głównie cała nienawiść proletariatu do kapitału.

– Złodzieje, wyzyskiwacze, pijawki, na ludzkiej krwi, na ludzkim pocie utuczone pasożyty, nie puścić ich, na latarnię z nimi, wypruć z nich bebechy! – ryczał tłum.

Już podwijały twarde, spracowane ręce rękawy, odsłaniając żylaste ramiona. Już dobywał ten i ów z za kamizelki postronka – burzuje zbledli, modlili się po raz pierwszy w życiu szczerze, gorąco do Boga – ulicznicy podrzucali w górę dziurawe czapki, podskakiwali bosymi nogami, ciesząc się z zajmującego widowiska – kiedy się przed ścianą tłumy ukazali wodzowie socjalizmu, przepasani czerwoną szarfą.

– Towarzysze, towarzyszki – wołali. — Hańba temu, kto splami zbrodnią pierwszy dzień tryumfu naszych świętych zasad. Nie na to zwyciężył socjalizm, aby zabijał, jeno na to, aby zdusił raz na zawsze hydrę ludzkiej podłości. Państwo, raczej społeczeństwo powszechnej szczęśliwości, cnoty i prawdy mamy zbudować, a któż rozpoczyna takie wielkie, święte dzieło, jakiego dotąd świat nie widział, od czynów nienawiści? Wypuście tych nędzników, ten trujący chwast ludzkości, z całą głową. Dla żarliwych sług Złotego Cielca dosyć kary, że zabieramy im warsztaty wyzysku.

Twarde, spracowane ręce zakrywały niechętnie żylaste ramiona, chowały z gniewliwym pomrukiem postronki. Ulicznicy, wynagradzając sobie stratę zajmującego widowiska, obrzucali burżujów błotem rynsztoków, pluli im w twarz, a tłum ryczał, jak opętany:

– Złodzieje, pijawki, rabusie!

Nagle odezwały się wszystkie syreny fabryk warszawskich. Warsztaty przemysłowe żegnały swoich właścicieli przeciągłym świstem, wygwizdywały z miasta swoich wczorajszych panów.

Ale oto nadciągała jeszcze gromada emigrantów. Któż to taki? Tylko arystokratów i burżujów skazał zwycięski socjalizm na banicję, bo tylko ich ziemie, pałace, domy, fabryki i pieniądze są mu potrzebne do zbudowania wspaniałego gmachu powszechnej szczęśliwości, prawdy i cnoty.

Ku wielkiemu zdziwieniu socjalistów szli poeci, literaci i uczeni, niosąc z sobą książki i pióra; szli malarze, dźwigając sztalugi, palety i pędzle, rzeźbiarze z dłutami i miotami; kompozytorzy ze zwojami nut.

Zdziwili się socjaliści, nie mogąc pojąć, dlaczego dziatwa Apollina i Ateny ucieka przed różową jutrenką nowej ery, sprzed samej bramy

raju powszechnej szczęśliwości. Bo przecież i one, te kapryśne, swawolne dzieci Apollina i Ateny, cierpiały, były wyzyskiwane w pokonanym porządku kapitalistycznym.

Odzierali ich ze skóry wydawcy, księgarze, handlarze obrazów, przedsiębiorcy zakładów kamieniarskich i bud teatralnych, wyzyskiwał ich, oszukiwał, okradał każdy, kto chciał i nie chciał – ich, niepraktycznych fantastów, żyjących dla swoich jakichś tam ideałów, chimery, gardzących sprytem i filisterstwem życia, – tuczyło się na ich mózgu, na ich natchnieniu, na ich krwawicy wszelakie robactwo burżujskie.

Dlaczegoż oni opuszczają kraj w chwili, kiedy nowy porządek zdejmuje z ich ramion nieznośne brzemie bezustannej walki o byt, ohydną, ponizającą, upokarzającą troskę o chleb powszedni, bołącą ich, dzieci fantazji, więcej aniżeli szary tłum roboczy, przywykły do jarzma? Porządek socjalistyczny da im dach nad głową bez awantur z kamienicznikami, da im dostatni wikt i opierunek, ubierze ich od góry do dołu w swoich magazynach, dostarczy im książek, piór, atramentu, papieru, farb, pędzli, gliny, dłut, narzędzi muzycznych. Popracują sobie osiem godzin dziennie w warsztatach społeczeństwa, jak każdy obywatel raju socjalistycznego, a potem będą mogli robić, co im się tylko będzie podobało.

– Hej, panie Słowik – wołał towarzysz Pocięgiel, szewc z profesji, do jednego z poetów – dlaczego to puszcza nas jegomość w trąbę? Składne piosenki dobrodziej kleci, miło było czasem posłuchać tego świergotania. Któż panu broni świergotać pod czerwonym sztandarem?

– O czymże będę śpiewał? – odpowiedział poeta. – O waszych sytych żołądkach, całych kapotach i butach? Bo tylko na to sfabrykowaliście rebelię, żeby sobie brzuchy napchać. Wróć, gdy sobie przypomnicie, że człowiek nie tylko dla brzucha żyć powinien, a tymczasem piszcie do mnie na Berdyczów.

– Może byście chcieli, żebym żelował osiem godzin dziennie buty, łątał pantaloney, zamiatał ulice, albo uczył waszych bębnow abecadła, gdy się tak panu zarządowi waszego raju socjalistycznego będzie podobało? Milsza mi moja bieda w swobodzie od waszego dostatku w niewoli – mówił jeden z powieściopisarzów. – Eksperymentujcie sobie na swoich skórach. I ja wróć, ale dopiero wtedy, kiedy się za łby weźmiecie, a nastąpi to bardzo prędko, co przepowiada wam powieściopisarz, który zna się lepiej od waszych przywódców na psychologii ludzkiej. He, he,

he, wolność, równość, braterstwo, miłość, zgoda, szczęście na ziemi...
A jakże! Do widzenia, kiepskie wariaty.

– A mnie tobyście kazali malować na czerwono całe państwo socjalistyczne, począwszy od drzwi i okien magazynów, aż do pewnych miejsc, abyście się i tam czuli w raju powszechnej szczęśliwości, a ja nie cierpię cynobru – podrwiwał młody malarz.

Z humorem, wesoło, z kapeluszami na bakier, śmiejąc się, dowcipkując, posuwała, się drużyna artystyczna zdumionym szpalerem ludzkim.

– Jakie to juchy pyskate – oburzał się towarzysz Dyndała. – Widzi mi się, że nam te golcy urągają. Warto by ich na drogę pomacać krzynekę po żebrach.

– Dajcie im pokój – odezwał się towarzysz Litera, zecer, mąż wielce uczony, bo składał same uczone dzieła. – Bardzo dobrze dla nas, że ci zarozumialcy opuszczają kraj. To żywiły przeciwspołeczne, niespokojne, narwane, sferności nie znoszą, lubią żyć bez żadnych pęt jako te ptaki polne i leśne. Gdyby zostali w kraju, zaczęliby wkrótce minować nowy porządek, podburzać przeciw nam nieuświadomionych, nieutrwalonych jeszcze dostatecznie w świętych zasadach socjalizmu. Zamiast pomagać, szkodziliby nam, bo umieją podniecać wyobraźnię łatwowiernych i słabych. Niech sobie te arystokracje inteligentne ruszają, gdzie pieprz rośnie. Bo to są arystokracje, którym śmierdzi powszechna równość prawdziwej demokracji. Obędziemy się bez ich świergotania, bez ich bazgraniny, mazaniny i brzdąkania. Socjalizm stworzy własną naukę i sztukę.

Za dziesiątą Apollina i Ateny szli dyrektorowie fabryk, starsi inżynierowie, chemicy, mechanicy, cały sztab zakładów przemysłowych, znienawidzony przez robotników. Uciekali przed zemstą swoich wczorajszych podwładnych, wiedzieli bowiem, że zwycięzcy zaprzęgliby ich do najgrubszych robót, aby nasycić tryumfujące oczy bezsilnością, upokorzeniem swojej byłej zwierzchności.

I szli jeszcze starsi, rozgłośni lekarze, adwokaci, profesorowie, sędziowie, którzy, zżywszy się z dawnym porządkiem, nie czuli się na siłach poddać się na stare lata nowemu.

Co kilkanaście minut odchodził z dworca wiedeńskiego nowy pociąg, zdążający ku granicy. Wszystko, co kraj posiadał wybitniejszego talentem, rodem, majątkiem, nauką, doświadczeniem życiowym, wypływał socjalizm ze swojego łona, wyrzucał poza granice swojego państwa, jak

niepotrzebne rupiecie. Biskupów, prałatów, kanoników, proboszczów, nieprzychylnych nowemu porządkowi, usunął centralny komitet już wczoraj przezornie w nocy, obawiając się rozruchów. Jeszcze niecały lud roboczy wyrzekł się tego „zwietrzałego przesądu”, który ustrój burżujski nazywał religią, przymierzem człowieka z Bogiem. Jacyś ciemni głupcy, nieprzyjaźni światłu wiedzy przyrodniczej, nie stojący na wyżynie chwili, mogliby wywołać burdę, która by zmąciła uroczysty nastrój pierwszych dni po odniesionym zwycięstwie.

Ostatni pociąg ruszył z emigrantami ku granicy. Socjaliści odechnęli piersią szeroką. Teraz będą sami u siebie między sobą, teraz zaczną gospodarować po swojemu, bez żadnej przeszkody, urządzą się według recepty: Marksów, Lassalle’ów, Engelsów, Liebknechtów, Beblów i wszystkich świętych świętego socjalizmu.

Bierne miliony obojętnych na wszystkie przewroty polityczno-społeczne, przywykłe w porządku burżuazijnym do posłuszeństwa, przycupną przerażone, nie ośmielą się podnieść ręki na zwycięzców.

Tak wierzyli.

Kiedy ostatni pociąg, wywożący banitów i dobrowolnych emigrantów, znikł w błękitnej dali, owiany kłębam szarego dymu, udał się tłum na plac wyścigowy. Tu stała wysoka trybuna, tonąca cała w czerwonych wstęgach i czerwonych kwiatach, a na tej trybunie czekał na towarzyszków i towarzyszki młody człowiek z bladą twarzą i płonącymi oczami fanatyka. Odkrył głowę i zaintonował hymn proletariatu.

Powiały czerwone sztandary i nad ruchliwą falą czerwonych kokard, piór i krawatów zaszumiała, pieśń gniewu wydziedziczonych. Zwycięstwo złagodziło jej groźne, ponure akordy, podniosło ich ton do wysokości radosnej fanfary.

– Towarzysze, towarzyszki – odezwał się młody człowiek z bladą twarzą i płonącymi oczami fanatyka. – Oto nadszedł ów dzień szczęśliwy, na który wzgardzona ludzkość czekała lat tysiące z tęsknotą łaknącego na puszczy wędrowca. Czego nie udało się wcielić wszystkim prawodawstwem i religiom przeszłości, wszystkim mędrcom, prorokom i reformatorom, my tego dokonamy. My, tylko my! – wołał, podniósłszy głos.

Z jego ciepłego, barytonowego głosu lał się żar wiary, szczerego przekonania, z jego czarnych, błyszczących oczu tryskał płomień zapалу. Ten człowiek nie kłamał; on wierzył w to, co mówił.

– Wszyscy mędracy, prawodawcy i prorocy przeszłości nie mogli znaleźć radykalnego lekarstwa na mękę człowieka, bo wychodzili wszyscy z zasady fałszywej. Oparłszy gmach swoich religii i państw na własności osobistej, musieli błędzić. Własność osobista i jej obrona przez prawodawstwo stała się źródłem wszystkich głupstw, sprzeczności, nieszczęść, grzechów i zbrodni ludzkich. Ona wytworzyła różnice stanowe, rzuciwszy ubogich pod stopy posiadających, ona zatrula serce ludzkie pychą, chciwością, samolubstwem, bezwzględnością, ona uzbroiła jednostkę przeciw jednostce, naród przeciw narodowi, ona uczyniła kobietę poddanką mężczyzny.

W pierwszym szeregu towarzyszek, tłoczących się dokoła trybuny, stała młoda, dwudziestokilkuletnia, przystojna blondynka, ubrana w wykwintny, szary kostium spacerowy. Jej duże, szafirowe oczy zawisły na ustach, na twarzy bladego mówcy z zachwytem uwielbiającej miłości. Syczały obok niej obelżywe uwagi, kłuły ją zazdrosne spojrzenia, ale ona, zapatrzona w mówcę, jak w arcydzieło wielkiego mistrza, zamknęła uszy i oczy dla złości ludzkiej.

– Lafirynda – syczała towarzyszka Gadalska, niskiego wzrostu, sucha, koścista, stara panna, ubrana w męski kapelusz, w męski żakiet i w spódnicę, wiszącą na niej, jak stara liberia na kołku. – Sprzedała w porządku burżuazyjnym za pośrednictwem księdza proboszcza gładką gębę i zaokrąglone formy bogatemu kauzyperdzie, teraz, kiedyśmy, bojowniczką wyzwolenia niewieściego, wywalczyły dla kobiety prawo do pełni życia, do wolnej miłości, chce korzystać pierwsza z naszych zdobyczy. Na Utopijskiego zarzuca sieci syrenie, chce zabrać dla siebie najzdolniejszego spośród naszych komitetowców. Serce burżuja musiałby mieć Utopijski, gdyby się dał wziąć takiej pospolitej gąsce, mogąc sobie wybrać towarzyszkę spośród lwic wolności.

– Żeby te lwice wolności chciały być trochę ładniejsze – zauważył jakiś młody, przystojny robotnik.

– Idiota! – ofuknęła Gadalska. – Nie wdziękami ciała, które więdną, mierzy się wartość człowieka, jeno zaletami duszy.

– Jakiej duszy? – zapytał robotnik. – Pani to przecież sama uczyła nas na wiecach jako nie ma nijakiej duszy.

– Przepraszam, omyliłam się, chciałam powiedzieć: inteligencja.

– Co mi tam po inteligencji, kiedy mi się chce całować? W takim razie wart ładny, świeży buziak więcej od inteligencji samego Marksa i Bebla.

- Głupiec!
- Niech mi pani nie urąga od głupców, bom taki sam towarzysz jako i pani. Widzicie ją, sucha Jewa, stare czupiradło, o la Boga, jaka mi inteligentna, że umie trajkotać, niby pytel, to...
- Cicho tam! – huknął głosem rogu myśliwskiego towarzysz Dyn-dała. – Towarzysz Utopijski jeszcze nie skończył. Nie przerywać mu!
- Towarzysz Utopijski, uśmiechnąwszy się do ładnej blondynki, co zapaliło błyskawice gniewu w oczach Gadalskiej, mówił dalej:

– Zdruzgotawszy własność osobistą, wypędziwszy z kraju jej zcicieli i obrońców, rozwiązaaliśmy wielką zagadkę szczęścia ludzkiego. Razem z własnością osobistą upadły wszelkie różnice stanowe i wszelkie z tych różnic płynące grzechy i zbrodnie, a równomierne wychowanie wszystkich dzieci społeczeństwa socjalistycznego usunie już w następnym pokoleniu różnice upodobań, dążności, pożądań, iż będziemy, jako jedno ciało. Niech nas burzuje nie straszą egoizmem ludzkim. W społeczeństwie, w którym nikt nie będzie miał powodu zazdrościć komuś czegoś, bo produkcja naszej pracy obdzieli wszystkich równą miarą, nie ma miejsca dla samolubstwa. Zwiędnie ono jako chwast niepotrzebny. I niech nas burzuje nie straszą różnicą temperamentów. Niezwykły przewrót, jakiego dokonaliśmy, podział na nas jak potężne, oczyszczające tchnienie. Wiedząc, że każdy będzie odtąd pracował tylko dla siebie, że jego krwawica nie będzie bogaciły podłych wyzyskiwaczy, będziemy pracowali ochoczo, bez szemrania, szczęśliwi, dumni, że pracujemy dla dobra własnego i całego społeczeństwa. Leniwi staną się pracowitymi, partacze sumiennymi robotnikami, krnąbrni posłusznymi. Czego nie potrafiły religia, prawodawstwa, sądy, policje, więzienia ustroju burżuazyjnego, to stworzymy my, bez tzw. bojaźni bożej, bez kryminałów, kajdan i katów. Uczciwość, prawość, obowiązkowość zamieszkają wpośród nas, są one bowiem naturalnymi skutkami naszych zasad.

Tysiąc już razy słyszeli towarzysze i towarzyszki te ładne frazesy, obietnice, przechwałki i po raz tysiąc pierwszy oklaskiwali je wrzaskliwie. Miło zawsze człowiekowi odurzać się, upajać słodką ambrozją pochlebstwa. Tylko owa ładna blondynka nie klaskała. Splótłszy ręce na łonie, modliła się zachwyconymi oczami do mówcy. On to widział i gorący rumieniec oblał jego bladą twarz.

Odgarnąwszy ręką z czoła bujne, Czarne włosy, mówił jeszcze Utopijski:

– A teraz, towarzysze i towarzyszki, zanim staniemy do wielkiego warsztatu wspólnej pracy, która jest główną podstawą, siłą i jedynym celem nowego porządku, weselmy się, radujmy się odniesionym zwycięstwem. Ale weseląc się, radując się, nie zapominajmy, że patrzy na nas złośliwe oko państw ościennych, które nie omieszkają wyzyskać najmniejszej swawoli na naszą niekorzyść. Cofnęliśmy z ulic policję i żandarmerię, jako niepotrzebnych świadków pokonanego ustroju burżujskiego, obrażających uczciwe oko cnotliwego socjalisty. Bądźmy dla siebie sami policją i żandarmerią, czuwajmy sami nad sobą, nad spokojem i porządkiem miasta, okażmy się godnymi wielkiego posłannictwa, jakie spełniamy. Niech żyje czerwona wolność, niech żyje raj na ziemi!

Znów powiały nad tłumem czerwone sztandary i znów zaszumiał hymn wydziedziczonych: „Czerwony sztandar” ... „czer...wo...ny... sztan...dar” ...

Z rozwiniętymi sztandarami, z tryumfalną pieśnią ruszył tłum ku Łazienkom. Ani jeden mundur, karabin, żołnierz, policjant nie psuł uroczystego nastroju chwili. Policja i wojsko przestały od wczoraj istnieć. Stróżów porządku publicznego nie potrzebuje społeczeństwo socjalistyczne, bo duch socjalizmu tchnął w towarzysów wszelakie cnoty, iż mogą się obyć bez nadzoru i obroży rządu. Armaty, karabiny, szable itp. dokumenty barbarzyństwa ludzkiego dawnych pokoleń, kazał tymczasowy komitet centralny jako bezużyteczne rupiecie zgromadzić w olbrzymiej szopie. Przyda się kiedyś to żelastwo do jakichś celów praktycznych... Kilka armat, karabinów, szabel i lanc zachowa nowy porządek w muzeum archeologicznym jako plastyczne dokumenty brutalności i dzikości burżujskiej cywilizacji. Wojen socjalizm prowadzić nie będzie, wzniósł się bowiem wysoko ponad wszelkie szowinizmy nacjonalistyczne i spory międzynarodowe. Na cóż mu wojsko?

Czoło śpiewającego tłumu dotarło do mostu przed pałacem Łazienkowskim. Z góry, z piedestału swojego pomnika dziwił się Jan Sobieski nieznanym mu sztandarom. Nie takie prowadziły jego husarię pod Wiedniem. Zdziwił się jeszcze bardziej przesławny wódz i król, kiedy jakiś drobny, chuderlawy żydek skoczył na piedestał i zaczął perorować.

– Towarzysze, towarzyszki! – krzyczał towarzysz Fajgenbaum. — Czy wiecie, kim był ten, który siedzi na koniu?

— Król Sobek – odezwano się w tłumie.

– A czy wiecie, co to był król? To był taki najwyższy burżuj, taki, co tarzał się w zlocie, kapał cały złotem i bronił ogniem i mieczem

własności burżujów przeciw zemście proletariatu. Dawniej nazywał się proletariusz chłopem, a burżuj szlachcicem. W złotą koronę ustroili burżuje swoich królów, bo królowie stali na straży ich worków ze złotem, w czerwony płaszcz ubrali ich, bo królowie kapali się w krwi słabych i ubogich. Tfu! Hańba tym katom wydziedziczonych! Takich, jak ten (Fajgenbaum pogroził pięścią Sobieskiemu), co zamiast karmić i uszczęśliwiać naród, umieli go tylko prowadzić na rzeź, powinna odrodzona ludzkość piętnować piętnem wieczystej kłatwy, bo byli tylko wielkimi rzeźnikami. Towarzysze, towarzyszki! Pozwolimy, aby pomniki tych wielkich rzeźników przypominały nam podłość i głupotę przeszłości? Czy nie mamy swoich bohaterów wolności, którym należą się pomniki?

Wykrzyczawszy to, wydobyl z kieszeni młotek i uderzył Sobieskiego w nogę.

– Nie tykaj, co nie twoje! – krzyknął jakiś robotnik.

Ale głos protestu pokryła wrzawa fanatyków.

– Widmo przeklętej przeszłości! Precz z nim! Marks zajmie miejsce tego ukoronowanego burżuja.

Posypały się na bohatera spod Wiednia kamienie, uderzyły w niego młoty.

Tłum wracał do miasta. Z szumem toczyła się fala ludzka Alejami Ujazdowskimi, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem, zatrzymując się przed pomnikiem Kopernika.

– Kopernik?! – krzyczeli socjaliści – klechę był, należał do czarnej bandy tłumiciel światła, do owych kruków, co obrzydzały człowiekowi ziemię i jej radości nieznośnym krakaniem: *memento mori!* Rozbić mu ciemny łeb!... Czytał podobno w gwiazdach? Co socjalizmowi po odczytywaniu tajemnic gwiazd? Ziemia jest jego warsztatem, jego rajem i niebem. On szanuje tylko praktycznych uczonych. W proch z Kopernikiem! Miejsce jego zajmie Ferdynand Lasalle.

– Mickiewicz?! O ojczyźnie litewskiej czy polskiej śpiewał, do Matki Boskiej Ostrobramskiej się modlił... wstecznik, bigot, stęchły mamut! Na dół z nim! Zabiera miejsce Beblowi!

Król Zygmunt?! Po cóż będą wizerunki królów obrażały oczy wolnego społeczeństwa?

Wrzawa upaja szpetnym upojeniem wódki, *in aquavita rabies*. Odurzył się tłum łoskotem padających gruzów... dajcie nam więcej, coraz więcej...

Z ulicy na ulicę ciągnęli tryumfatorzy, niszcząc wszędzie zabytki przeszłości, „ohydne go porządku burżuazyjnego ohydne pamiątki”. Socjalizm nie potrzebuje błękitnej przędzy tradycji historycznej, łączącej chwilę obecną z daleką przeszłością, albowiem dopiero od niego zacznie ludzkość żyć po ludzku, pełnym życiem, pełną swobodą. Wszystko, co było przed nim, przed jego wielką, promienną jutrzenką wolności, kapało się w mrokach barbarzyńskiej ciemnoty i we łzach wyzysku. Z przeszłości nie zasługuje nic na cześć, na pamięć u potomnych. Więc precz z tradycją historyczną i a jej sędziwymi świadkami...

Zapałał już wieczór, kiedy zamilkł łoskot młotów, oczyszczających Warszawę z zabytków burżuazjskiej przeszłości. We wszystkich oknach i wzdłuż ścian domów, rozwieszone na drutach, czerwieniły się czerwone lampy i lampki, na rogach ulic, na placach, w alejach paliły się ognie bengalskie i sypały rakiety krwawymi iskrami. Miasto witało pierwszy dzień nowego porządku czerwoną iluminacją.

Żołądek, tyran ludzkości, przypomniał towarzyskom i towarzyszkom porę wieczery. Żadna żywa kreatura nie może żyć długo samym zapalem.

Nie było dziś kłopotu o posiłek. Setki restauracji, garkuchni, handelek i szynków stały otworem, niestrzeżone przez nikogo. Bogatsi właściciele pouciekali, ubożsi zaś siedzieli cicho, jak przerażone myszy pod miotłą. Wszakże przestała własność prywatna istnieć od wczoraj. Cały majątek kraju należy do społeczeństwa, do wszystkich, do każdego. Jutro zacznie tymczasowy zarząd nowego porządku spisywać, porządkować, zwozić do magazynów majątek społeczeństwa. Dziś można sobie jeszcze użyć w restauracjach i szynkach bez panów.

Gęste tłumy obieły hotele: Europejski, Angielski, Francuski, Bristol i wszystkie pierwszorzędne restauracje. Towarzysze i towarzyszkę tłoczyli się do najlepszych jadłodajni, tam, gdzie burżuje używali. Nikt nie chciał się posilić w podrzędnej garkuchni. Wszyscy są przecież teraz równi...

Powstał ścisk. Tłum, prąc do drzwi hotelów, zwarł się, jak gęsta lawa piasku, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu. Jeden wchodził na drugiego, parł go z tyłu, deptał go po nogach. Rozległy się kłatwy...

– A żeby was jasne pioruny – pcha się to, jak bydło – cholery – psiakrew...

Mocniejszy torował sobie drogę przez tłum pięściami, sprytniejszy siadał mocniejszemu na plecy i wjeżdżał na nim do hotelu; duszone kobiety krzyczały, deptane dzieci płakały.

– Policja! Nie ma tam kogo, kto by nauczył ich porządku? – wołał jakiś inteligent, duszący się w tłoku.

– He, he, he, policja... – śmiali się mocni i sprytni – szukaj wiatru w polu, poszła spać na zawsze, pilnuj teraz każdy swojej skóry...

Mocni i sprytni zdobyli sobie pięściami i przebiegłością najlepsze restauracje, słabi i łatwowierni rozproszyli się po mieście, umieszczając się, gdzie się dało, bez wyboru.

Towarzysze: Dyndała, Skowron, Litera, Siłacz i Fajgenbaum rozsiadli się w Bristolu.

Brzęczały sale restauracji hotelowej, jak sto uli na wiosnę. Zajęte były krzesła, zajęta estrada dla muzykantów, na podłodze nawet śledzili nieznanymi dawniej tym salom goście. Bufet i szafkę z wódkami i likierami uprzętnął głód w kilka minut. Widelcami, nożami, palcami, jak się dało, byle prędzej, byle złapać jak najwięcej, rozchwyтали zwycięzcy przekąski. Byli kelnerzy obecnie towarzysze, wzięwszy sobie do pomocy kilka towarzyszek, pełnili dobrowolnie służbę obywatelską, znosili ze spiżarni, z piwnic wszystkie zapasy, których burżuj-właściciel nie zdążył spieniężyć przed pogromem dawnego porządku. W pół godziny były spiżarnie puste.

– A teraz wina, tego dobrego, najlepszego, najdroższego, co go to podli burżuje chlali za nasz pot, za naszą krwawicę. Jak się to wino nazywa, bo zapomniałem? – odezwał się towarzysz Dyndała, chłop na schwał z karkiem żubra i żelaznymi plecami tragarza.

– Szampańskie! – odpowiedział mu towarzysz Fajgenbaum, rudy żyd, popstrzony piegami.

Ogromnie Dyndałę bawił korek, wyskakujący z szampanki.

– Patrzcie, jakie te juchy burżuje rozpustne – mówił. – Na wiwat kazali sobie strzelać przy kieliszku.

Wychylił lampkę jedną, drugą, trzecią, oblizal się, otarł wąsy grzbietem ręki!

– Słodkie, bo słodkie, ale za mdłe. Nic w gębie i gardzieli nie drapie, a w żołądku ani czuć.

Towarzysz Litera, który jako metrapaź³ jednej z redakcji ululał się raz na jakiejś fecie redakcyjnej szampanem tak uczciwie, iż nie pamięta, jak się znalazł w domu pod kołdrą, uśmiechnął się złośliwie.

– Tylko powolutku, Dyndała, – ostrzegał – bo ani się spostrzeżesz, jak ci jęczyczek skołowacieje.

³ metrapaź – pracownik drukarni, który wydrukowany tekst formuje w stronicie. Słownik języka polskiego PWN.

– Od tej wody z cukrem? Żartujesz, towarzyszu. Nie łeb Dyndały brać na takie pukające ziółka. Całą studnię tego burżujskiego miodku wypiję, a potem zarzucę na plecy z pięćdziesiąt kilogramów i marsz do dryndy.

Perliło się wino białe, złotawe, czerwone w lampkach, kieliszkach i szklankach, pukały szampanki, zarumieniły się twarze, podniosły się głosy – brzęk pszczoł zmienił się we wrzawę, w której tonęły, zlewały się bez śladu porwane zdania i wykrzykniki.

Dyndała rozparł się w krześle wygodnie i zapalił cygaro hawańskie. Dmuchając przed siebie wonny dym, mówił:

– Kto by się spodziewał, że my biedacy dożyjemy takiego szczęścia. Siedzimy sobie w hotelu, niby hrabiowie, pijemy sobie najlepsze wino, kurzymy sobie wytworne cygaro i nikt nam nie ma prawa zabronić. Niech Pan Bóg da zdrowie onym mądrym panom, co to wymyślili nasz śliczny socjalizm. Ino patrzeć, jak mi nasz zarząd wyznaczy na mieszkanie jaką willę z ogródkiem. Bo to widzicie, moja stara, jako że jest ze wsi, gospodarska córka, ho, ho, nie tam byle jaka, lubi okrutnie grzebać w ziemi. Będzie sobie kobiecisko siało, sadziło, doglądało grządek. A i dzieciakom przyda się ogródek wedle zabawy. Taki drobiazg to lubi latać na wolności i fikać koziołki po trawie. Już sobie moja stara upatrzyła ten pałacyk w Alejach Ujazdowskich, wiecie, ten z ogrodem. Baba ma rozum, niczego posesyjka.

– Patrzcie ich, jacy mądrze – odezwał się kowal Siłacz, z piersią i ramionami atlety. – Tragarce z kolei zachciewa się pałacyku w Alejach. Może jeszcze karety i paradierów?

– A dlaczegożby nie? – krzyknął Dyndała, grzmotnąwszy pięścią w stół (wyszczał już drugą szampankę). – Miałom się to nawysługiwał socjalizmowi, małom to łba nadstawiał, kiedy trzeba było tego owego sprzątnąć albo rzucić jaką bombkę? Małom się to naponiewierał po lasach, rowach, bagnach, kiedy rypaliśmy po napadzie na jaką pocztę albo na kolej przed kozuniami? Psia służba. Żeby nie to, co owe wiecowniki gadały, jako po zwycięstwie będzie wszystko nasze, toby takiej służby nikt nie wytrzymał.

– Wszyscyśmy się wysługiwali tak samo socjalizmowi – zauważył Siłacz.

– To też niech sobie każdy wybiera, co mu się podoba – dowodził Dyndała – ale od mojego pałacyku wara, rozumiecie, wara!

– Co mi tu będziesz wygrażał pięścią, ty kuferkodźwigu – zawołał Siłacz.

– Nie wytrzeszczaj ślepiów niby jakowa bestia, kowadłotłuku – krzyczał Dyndała.

– Cicho, ciiiicho, towarzysze – uspokajał powaśnionych Fajgenbaum. – Niech żyją wszyscy ludzie i Dyndały i Siłacze i Fajgenbaumi! Na co my się mamy zaraz klócić? Będzie nam teraz wszystkim dobrze i tobie Dyndała, i tobie Siłacz, i Literze, i Skowronowi, i mnie. Wszyscyśmy pracowali uczciwie dla socjalizmu. To nasz zarząd o nas nie zapomni.

Teraz odezwał się Litera, który rozkoszował się szampanem ostrożnie, małymi haustami.

– Gadacie, jak dzieci, co nie wiedzą nic o socjalizmie. Nie na to zwyciężyliśmy burżujów, żebyśmy rozdrapali ich majątek, jeno na to, abyśmy stworzyli dla wszystkich wspólny warsztat pracy i wspólne, równe warunki bytu. Nikt nie ma być lepszy od drugiego. Gdyby się tak każdemu zachciało willi z ogrodem, toby trzeba całą Polskę przebudować i nie stałoby cegieł i ziemi dla wszystkich.

– A mnie co do tego, czy starczy dla wszystkich albo nie starczy – wrzeszczał Dyndała. – O la Boga – jak te ziółka łomocą we łbie; ogień krąży po kościach, zda mi się, jakobyem leciał w górę, aż pod sam sufit i na dół pod podłogę. To ci dopiero zdradliwy trunek (schwycił się oburącz stołu). Niech tam zarząd kręci łbem, jak chce, a ja co muszę mieć oną wilię, to muszę. Bo widzicie, o mnie to tam nie idzie, mnie tam każdy kąt dobry, spało się nieraz pod płotem, na bruku, w rowie, jak wypadło i człowiek żyje, ale z babą nie dasz rady. Jak sobie taka jucha co wymedytuje, to obcęgami nie wyciągniesz jej ze łba. Trajkoce mi od wczoraj: ten pałacyk w alejach i ten ogródek, rozumiesz bałwanie!... No, rozumiem... Kawał ze mnie chłopca, ale i ona ma łapę jako warzachew, a szybka do bijatyki, niby andrus z nad Wisły. A ożó! Rety, rety, jak zacnie pytlować, to bierz chłopie czapczyisko na uszy i zmykaj... No, widzicie, nie mogę inaczej... ta wilia musi być nasza.... na....sza.... a... jak...że... w ślepiach mi się ćmi..., ję...ję...zyk ja...ko... pies w pantoflach...

Obejrzał się błędnym wzrokiem dokoła.

– Wszys...cy... tańczują... Gadalska z butelką... Skowron z krzesłem... ta wilia... moja baba... – mamrotał.

– Ululął się – śmiał się Litera – a mówiłem.

„Ululały się” wszystkie sale restauracji. Przelatywały po nich śmiechy, nawoływania i wykrzykniki. Bachus był zadowolony.

Zacierał także rączęta z radości psotny Amor. Nigdy jeszcze nie nabroił tyle, ile dziś, nigdy nie wypuścił tylu strzał ze złocistego luku.

Posiliwszy się, napiwszy, wymykała się młodzież chyłkiem z restauracji, z piwiarni, z kawiarni, z szynków. Zaroiło się w ogrodach i na pobrażach nadwiślańskich od par szepczących, gruchających.

Wieczór był taki ciepły, pachnący – pogodny wieczór czerwcowy. Już rozkwitły bzy w całej pełni, rozkwitały jaśminy i akacje, w sam raz atmosfera i ramy dla słodkiego Amorka.

Używał psotnik, śmiejąc się z cicha w różową piąstkę.

Socjalizm ułatwił mu robotę. Zniósł sakrament małżeństwa i urzędy stanu cywilnego, zdjął z małżeństwa krępujące swobodę pęta religii i prawodawstwa, uczynił je wolnym, jako źrebię na łące. Społeczeństwo nie ma prawa nadzorować pociągu międzypłciowego, wtlaczać go siłą w obrozę ustaw, ograniczać jego zmiennych gustów. Podobają się sobie mężczyzna i kobieta – niech się biorą bez księdza proboszcza, bez urzędnika stanu cywilnego, niech się kochają dopóty, dopóki im się podoba, i niech się rozchodzą, kiedy im się podoba. Ich to rzecz – sprawa to prywatna, do której społeczeństwu zasię⁴. Dzieci nie będą odtąd zakłócały spokoju rodziców. Wychowa, je społeczeństwo. Im więcej dzieci, tym lepiej. Nowy porządek potrzebuje dużo rąk do pracy.

Ruszyły do, parków i ogrodów wszystkie zwolenniczki „pełni życia”, wdowy, mężatki i panny, klasnęły w ręce z radości wszystkie brzydkie, stare panny, podskoczyły w górę wszystkie prostytutki, zwane dotąd kobietami upadłymi. Teraz będą mogły obnosić swoje upodobania jawnie, w jasny dzień po ulicach i nikt nie będzie ich wytykał palcem.

Niech żyje wolność!

Towarzyszka Gadalska, jedna z najgorliwszych wiecowniczek, uświadamiaczek w porządku burżuazyjnym, zasłużona wielce dla przewrotu, latała po ulicach i ścieżkach parku miejskiego, jak sprawny wyżeł, tropiący kuropatwy. Aż jej się czerwone pióro przekręciło na męskim kapeluszu. Krew jej smagała pożądlivość kobiety czterdziestoletniej niekochanej, niecałowanej, nieobjęowanej nigdy. Ostatnia chwila, ostatnia chwila! Krzyczała w niej tęsknota sierociego serca, miotała się w niej niezaspokojona dotąd żądza miłości. Za rok, za dwa, zacznie więdnąć...

⁴ zasie (zasię) daw. – nie wolno, nie wtrącaj się, wara! precz!. Słownik języka polskiego pod red. W. Doroszewskiego.

Rzucała na prawo, na lewo zachęcające spojrzenia, uśmiechy. O, ten podły rodzaj męski! Nikt nie zwracał na nią uwagi, na nią, na zasłużoną społecznikę, którą na wiecach tak rzęsiście oklaskiwano.

Każdy wolał ładną, świeżą buzię, okrągłe formy, młody śmiech, młode, wiosennym blaskiem tryskające, oczy. Jacy oni podli, ci mężczyźni, jacy płacy! Niczym dla nich zapal, natchnienie, talent. Pierwsza lepsza hoża, urodziwa gaska wlecze ich za sobą na łańcuchu zwodniczych, zmiennych uśmiechów. Urodzeni niewolnicy miłości. A zdaje się im, że są panami, władcami kobiety. Ten Utopijski! Taki niby genialny, taki cały oddany idei, a opuścił plac wyścigowy, prowadząc pod rękę ową rozpustnicę z oczami niezapominajki. Tfu!

Długo szukała towarzyszka Gadalska. Aż nareszcie zmiłował się nad jej nieugaszonym pragnieniem jakiś osiemnastoletni chłopczyna. Dzieci lgną, wiadomo, do kobiet przejrzałych.

Roilo się w parkach, ogrodach i pobrażach nadwiślańskich od par szepczących, gruchających, biły serca młotem, kipiała krew, omdlewały spojrzenia, a psotny Amor chichotał drwiąco: nawarzę wam piwa, nawarzę...

II.

Utopijski klęczał u stóp pani Wandy Padlewskiej, swojej modrookiej wielbicielki, tuląc głowę do jej kolan.

– Teraz jesteś moją, ukochaną, najmiłszą towarzyszką, najwierniejszą na tej ziemi przyjaciółką – mówił głosem drżącym. – Już miłości naszej nie będą opluwały śliną jadowitą przesady burżujów, już nas obłudna moralność wyzyskiwaczy nie będzie stawiała pod pręgierzem tej ulicznicy, zwącej się opinią publiczną. Runęły raz na zawsze wszystkie tamy i przeszkody, dzielące serce od serca, nakładające kaganiec na instynkt płciowy. Nieznośne śluby z aparatem obrzędowym kościoła i urzędu stanu cywilnego, wymyślone przez tyranów wyzysku w celu, obezwładnienia kobiety, należą od wczoraj do rupieciarni przeszłości. Teraz jesteś moją, moją, przed całym światem moją...

Dwoje okrągłych, ciepłych ramion objęło jego głowę, różowe, gorące usta dotknęły jego włosów, szepnąwszy:

– Kocham cię, bohaterze wolności!

On drgnął pod dotknięciem tych ust, podniósł się z kolan i przygarnąwszy ukochaną do piersi, całował jej śliczne oczy.

Siedzieli na jedwabnej kozetce w wykwintnym buduarze, oświetlonym księżycowym blaskiem lampy, przyćmionej srebrzystym abażurem; stopy ich spoczywały na białym, miękkim dywanie. Zaciszenie było w tym gniazdku miłości.

Nie pierwszy to raz tulili się do siebie na tym samym miejscu, ale jeszcze kilka dni temu doznawali, całując się i pieszcząc, uczucia zło-dzieja, rabującego cudzą własność. Straszyl ich dzwonek, odzywający się w przedpokoju, przerażał ich kobiercami tłumiony szelest kroków służby, szarpał ich nerwy turkot dorożki, zatrzymującej się przed bramą domu. Może to on dzwoni, skrada się do nich, wraca z miasta, on, mąż, obrzydliwy cerber, któremu prawodawstwo burżuazyjne oddało władzę nad jej duszą, sercem i ciałem? Teraz nie straszy, nie przeraża ich już nic... Pan Padlewski, wzięty w mieście adwokat, uciekł z dziećmi za granicę

razem z arystokratami, burżujami i tą „niesformną hołotą” Apollina i Ateny. Gdyby mu nawet przyszło na myśl wrócić do Warszawy, nie byłby już straszny dla wiarołomnej żony, nowy bowiem porządek rozwiązał wszelkie śluby, rozpętał wszelkie pęta.

– Już nas teraz nikt nie rozłączy? – pytała.

– Nikt, oprócz naszej własnej woli – odpowiedział.

I tulił ją do siebie z namiętnością ubogiego chłopca, któremu ubóstwo zamknęło bramy do raju Wenery.

Był synem ubogich rodziców. Żebranią po redakcjach, stypendiami przepchnął się przez szkoły, lekcjami, głodem, ponieważ przez uniwersytet; od lat najmłodszych pił z kielicha życia gorzyc walki o byt, niedostatku, upokorzenia, patrzył na samolubstwo i chciwość pieniędzy, na pychę bogactwa. W chwili, kiedy kończył studia prawnicze, powiał nad krajem gorący oddech rewolucji, przesycony fosforem niezadowolenia z istniejącego porządku i rozgrzał jego smutną duszę. Ubogi student, dyszący do radości i rozkoszy życia, wczytywał się w dzieła socjalistów, pochłaniał z głodem wydziedziczonego ich obietnice powszechnego szczęścia i stał się szczerym, żarliwym wyznawcą ich doktryn. Zdolny, energiczny, odważny, rzucił się w krwawe wiry wojującego socjalizmu i wysunął się na sam przód walki. Kiedy pionierzy nowego porządku wyginęli, obwołali towarzysze jego wodzem.

– Nikt oprócz naszej własnej woli? – szeptała pani Wanda. – A gdyby nasza wola...

– O, nie mów tak, nie wąż; niech nawet myśl o rozłące nie mąci naszego szczęścia, nie plami naszej miłości — mówił Utopijski, zamykając usta pani Wandy długim pocałunkiem.

Ona przymknęła powieki, upojona narkotykiem miłości;

Wydano ją młodą dziewczyną za mąż, za człowieka, którego nie kochała; sprzedano jej urodę zamożnemu adwokatowi. Mąż otoczył ją zbytkiem, stroił ją, zabawiał, ale nie mógł jej nakarmić ambrozją miłości, za którą jej młode serce tęskniło.

Nadeszła chwila wieców pedagogicznych, etycznych, politycznych, uświadamiających i różnych innych. Pani Wanda, znudzona żurkami, teatrami i kwestami, popłynęła za prądem ogólnym, uczęszczała pilnie na różne zebrania legalne i nielegalne. Nowość, śmiałość wygłaszanych przez wywrotowców poglądów olśniła jej wyobraźnię,

poniosła jej młody, bezkrytyczny rozumek. Najwięcej ze wszystkich nowości podobał się żonie niekochanego męża, łaknącej zawrotnych wrażeń i upojen miłości, nowy pogląd na stosunek międzypłciowy. Jej tęsknotę za miłością przekonała doktryna o „pełni życia”. Cała część ekonomiczna i społeczna rewolucji obchodziła ją niewiele. Żona zamożnego męża, który zdjął z niej ciężar walki o byt, nie odczuwała, nie rozumiała namiętnego krzyku głodnych, odtraconych od pełnego stołu życia. Z nowych poglądów zapadło w jej serce tylko to, co to serce bolało.

Na zebraniach widywała, słyszała często Utopijskiego. I jej serce dziewicze uderzyło potężnie do tego marzyciela, w którego mowach palił się czysty płomień wiary i nadziei, i jej młoda wyobraźnia otoczyła głowę uwielbianego działacza aureolą bohaterstwa. Kochała go, jak kocha młodość swoje złudzenia.

– Tchnienie socjalizmu oczyściło serce człowieka z brudów wszystkich grzechów przeszłości, odniesione zwycięstwo zgasiło raz na zawsze żółty płomień zawiści, zdeptało trującego gada podłości, zapewniwszy dla wszystkich byt. Zabiło zbrodnie – deklamował Utopijski. – Nic nie będzie odtąd zagrażało ani szczęściu, ani wolności człowieka. Wróćą czasy pierwotnych społeczeństw, w których nikt nikomu niczego nie zazdrościł, nikt nie nastawał na cudze mienie, albowiem wszystko należy do wszystkich.

Wtem rozległy się na ulicy pod oknami strzały.

– Szczęśliwy lud strzela na wiwat – zauważył Utopijski...

Potem słyhać było jakby wrzawę walczących lub klójących się ludzi.

Co by to mogło być? Czyby alkohol podniecił nad miarę fantazję szczęśliwych zwycięzców?

Już podnosił się Utopijski, aby wyrzeć oknem, kiedy za dzwonek w przedpokoju szarpnęła jakaś niecierpliwa ręka.

– Mąż! – zawołała pani Wanda przerażona, zrywając się z kozetki.

– Dziecko! – uspokajał ją Utopijski. – Upiory przestały straszyć żywych ludzi.

Otworzył drzwi. Do buduaru wpadł Litera z browniingiem w rękę.

– Towarzyszu-gospodarzu – mówił głosem zdyszczanym – wszyscy złodzieje, włamywacze, rabusie, mordercy, cała czeladź zbrodni wylała się na ulicę.

- Czegóż chcą?
- Rabują domy bogatych burżujów, majątek społeczeństwa.
- Ra...bu...ją?

Utopijski patrzył na Literę wzrokiem nieprzytomnym, jakby go nie rozumiał.

- Ra...bu...ją? – powtórzył głosem bezdźwięcznym.

Wiadomość ta szarpnęła złocistą przędzę jego optymistycznych doktryn, wierzeń, nadziei ręką brutalną. Więc tchnienie socjalizmu nie oczyściło wszystkich serc, nie zdeptało trującego gada podłości, nie zabiło zbrodni?

– Korzystając z tego, że usunęliśmy z ulicy policję, zbrodnia gospodaruje w mieście, jak w zdobytej twierdzy – mówił Litera. – Przerazona ludność ucieka w popłochu przed browningami bandytów, zamyka się w domach, woła o pomoc.

Utopijski stał z oczami zamkniętymi, ślaniając się, jak gdyby się posadzka buduaru pod nim chwiała. Fanatyk oderwanej idei zetknął się po raz pierwszy z rzeczywistością.

- Okropnie! – szeptał pobladłymi ustami.

– Trzeba na to coś poradzić, towarzyszu-gospodarzu, jeśli miasto nie ma się stać lupem złodziejów i rabusiów.

Utopijski ocknął się z bolesnego zdziwienia. Tak, trzeba na to coś poradzić, jeżeli nowy porządek nie ma runąć w błoto grzechu zaraz pierwszego dnia po odniesionym zwycięstwie.

- Do ratusza! – zawołał.

– Zostawiasz mnie samą w tym niepewnym położeniu? – odezwała się pani Wanda, uczepiwszy się jego ręki. – Ci straszni ludzie mogą mnie napaść.

– Przyślę ci do obrony Dyndałę. Nie zatrzymuj mnie! Jestem potrzebny w ratuszu.

– Dyndała, spity jak niestworzenie boskie, leży pod stołem w „Bristolu” – szepnął Litera do ucha Utopijskiego.

- Siłacz zastąpi Dyndałę przy mej żonie.

- Siłacz, zalawszy pałkę, wyprawia brewerie razem z bandytami.

- Przyślemy Fajgenbauma albo Skowrona.

– Fajgenbaumowi i Skowronowi zachciało się po szampanie romanów. Nie wiadomo, gdzie ich szukać.

– Czy wszyscy powariowali? – krzyknął Utopijski, zdejmując z szyi ręce pani Wandy. – Zatrzymujesz mnie, a naszemu wielkiemu dziełu grozi srom. Te łotry zniesławiają socjalizm. Do widzenia! Gdzie dobro społeczeństwa wola swoich wodzów, tam milkną uderzenia serca jednostki. Nie obawiaj się. Przyślę jakiego zucha do twojego boku.

Wybiegł na ulicę. Gromada mężczyzn i kobiet przeciągała właśnie pod oknami pani Wandy, objuczona łupem. Kobiety niosły poduszki, kołdry, bieliznę, suknie, mężczyźni lichtarze, srebra, zegary, szkatułki.

– A wy, dokąd?! – krzyknął Utopijski na złodzieją – skąd wzięliście te rzeczy!

Śmiałość i czerwona szarfa towarzysza-gospodarza stropiły w pierwszej chwili rabusiów. Znali go z wieców. I oni zabawiali się podczas rewolucji w politykę. Wielu z nich służyło z początku w bojówce, zanim, nauczony się ekspropriacji dla celów partii, zaczęli wywłaszczać burżujów na własną rękę, dla własnej kieszeni.

– To starszy – odezwał się któryś z nich półgłosem.

– Odnieście natychmiast te rzeczy tam, skąd je wzięliście – rozkazał Utopijski.

Pierwszy odważył się mu odpowiedzieć jakiś wyrostek z gębą urodzonego zbója. Czoło miał niskie, jak małpa, uszy szpiczaste, jak lis, dolne szczęki nadmiernie rozwinięte, oczy zezowate.

– Kiedy wolność, to wolność – mówił. – Prawiliście na wiecach, że kiedy zwyciężymy, to będzie wszystko po równości dla każdego, wspólne. To my też sobie teraz bierzemy, co się nam podoba, bo zwyciężylim, bo tłuklim razem z wami burżujów galanto.

– Nie waszą rzeczą rozporządzać majątkiem społeczeństwa – tłumaczył Utopijski – jest od tego tymczasowy zarząd, żeby wydzielił każdemu, co mu potrzebne.

– A juści – odezwała się jakaś baba znad Wisły, dźwigająca na plecach w prześcieradle pościel – żeby tymczasem inni rozdrapali co najlepszego. Nie słuchajta tej bzdurnej gadaniny, co wzięlim, to nasze i już.

– Zamkniesz ty gębę, ty... – wrzasnął Utopijski.

– A tobie co do mojej gęby – wrzeszczała baba, doskakując do Utopijskiego z pięściami. – Widzicie go! Że ma bladą gębę, jakby tylko wodę chlał, i czerwony gałgan bez plecy, to się będzie rządził na ulicy

i pyskował niby jaki lawirowy⁵. Hrabia, a jakże. Antek, nie masz tam majchra⁶, wałkoniu?

Antek, ów wyrostek z czaszką małpy, przysuwał się bokiem do Utopijskiego, ale go jakiś duży drab ujął za kark i odepchnął, warcząc:

– Leżeć kundlu, do budy!

A zwróciwszy się do Utopijskiego, rzekł:

– A wy, panie starszy, nie wtykajcie nosa do nieswoich rzeczy. Kiedyście nas potrzebowali, to obiecywaliście nam domy, ziemię, wszelakie dobro, a teraz to nam żałujecie trochę gałganów i srybła. Może byście jeszcze poszczuli na nas szpiclów i stojących? Dobra nasza, że tych psów już nie ma. Do roboty, towarzysze!

Wygrazając Utopijskiemu pięściami, odeszła banda ku ulicy Berga. Za kilka chwil było słyhać uderzenia toporów w bramę. Rabusie szukali nowego łupu.

– Towarzyszami nazywa się ta czeladź zbrodni – mówił Utopijski – co za hańba dla naszego sztandaru!

Biegł z Literą do ratusza. Po drodze spotykał wszędzie takie same gromady, objuczone łupem, słyshał klątwy, strzały, wołania o pomoc.

W ratuszu, w sali radnej, zastał już cały tymczasowy zarząd, który miał wykonywać obowiązki władzy, aż do zwołania pierwszego sejmku. Panowie kierownicy poszczególnych wydziałów (tytuł ministra usunięto, jako starzyznę, przypominającą porządek burżuazyjny) czekali z niecierpliwością na „gospodarza” (tytuł prezydenta nie podobał się towarzyszom z tych samych powodów).

Byli to sami ludzie młodzi, liczący po lat dwadzieścia kilka, prawnicy, lekarze, inżynierowie, dziennikarze, studenci. Należeli podczas rewolucji do centralnego komitetu, byli mówcami na wiecach i agitatorami.

Bezradność malowała się na ich twarzach. Co robić? – pytały ich oczy. Czekali na wodza, przywykli myśleć jego myślami, mieć jego wolę.

Ale i wódz, gospodarz świeżo upieczonego państwa socjalistycznego, stał bezradny wobec położenia, które przekreślało wszystkie jego teorie o „oczyszczającym tchnieniu socjalizmu. Umiał tylko zawodzić: hańba, hańba!

⁵ lawirowy to celowo użyte sformułowanie, ponieważ prosta ludność Warszawy, posługująca się gwara, bardzo często przekręcała wyrazy i tak np. na rewirowego, mówiono lawirowy, na obcas abcas itd. Przypis wydawca za *Gwara warszawska dawniej i dziś*, Z. Lengren, wyd. 2 popr., Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1968a.

⁶ majcher pot. – nóż, zwłaszcza duży, używany w bójkach. Słownik języka polskiego PWN.

Przy długim stole, przykrytym czerwonym suknem, siedział starszy człowiek w wytartym, poplamionym surducie. Kiedy komitetowcy zawadzili, palił on papierosa, uśmiechając się pod siwiejącym już, nieporządnie utrzymanym wąsem.

Nagle odezwał się:

– Pytacie, co robić? Wyślijmy natychmiast policję na ulice i każmy jej wyłować bandytów.

Żachnęli się na niego komitetowcy.

– Policja? W państwie socjalistycznym policja? Lassalle i Marks przewróciliby się w grobie, Bebel by nas wyklął. Towarzysz Drwicky trąci jeszcze burżujem.

Towarzysz Drwicky, były nauczyciel ludowy, a od wczoraj kierownik wydziału oświaty, odpowiedział spokojnie:

– Niech sobie Lassalle i Marks fikają w grobie koziółki z oburzenia, niech Bebel złamie nad nami sto świec i klnie z furią średniowiecznego inkwizytora, a my pošlijmy natychmiast na ulicę całą bojówkę, jeśli nie chcemy, żeby się bandyci i do nas zabrali. Dla tej hałastry nie ma nic świętego, o czym dobrze wiemy. Zamiast ekspropriować⁷ dla partii, grabili dla siebie. Łajdaki! Nazwijcie tę nową policję milicją, strażą cnoty, porządku, czy jak tam chcecie, jeśli wam nazwa burżujka nie smakuje, ale nie zwlekajcie. Siłą brutalną uśmierza się tylko siłą, brutalną, pięścią. Z mowami, z gadaniną pójdziecie do tej kanalii? W nos się wam roześmieje, a gdy się jej wasze ładne słowa sprzykrzą, pomaca was nożem po żebrach.

Na dworze rozległy się strzały.

– Słyszycie? – zawołał Drwicky, podnosząc się z krzesła. – Pod naszymi oknami gospodaruje zbrodnia, a wy się wahacie? Co tu długo medytować?

I nie czekając na przyzwolenie kolegów, wybiegł na korytarz. Tu siedziało na ławach dwudziestu bojowców, pełniących przy zarządzie służbę straży honorowej. Wielkie to były zuchy, kwiat bojówki. Każdy z nich wyekspediował na drugi świat po kopie burżujów. Na robocie sztyletem, brauningiem i bombą znali się po mistrzowsku.

– Czy słyszycie te strzały? – zapytał Drwicky.

– Słyszemy, towarzyszu-kierowniku.

– A wiecie, co one znaczą?

⁷ ekspropriacja daw. – przymusowe pozbawienie własności. Słownik języka polskiego PWN.

– Bandyci hulają.
– Czy pozwolicie na to, żeby ta hałastra, rządziła się w mieście, jak w świńskim chlewie?
– Rozkażcie, a obrzydzimy tym grandziarzom pohulanekę.
– Rozkazuję wam w imieniu tymczasowego zarządu zwołać natchmiast bojówkę i oczyścić miasto z tego robactwa. Kul nie żałujcie, a i postronki niech zrobią swoje. Wieszac na latarniach, na głównych ulicach i placach, żeby jutro ci, co ujdą waszemu pościgowi, widzieli swoich kamratów dyndających, z wywalonymi ozorami. Poskutkuje to lepiej od brauningów. Jazda!

– Dobra! – rzekł dowódca straży. – Zrobi się, jak należy.

Utopijski, posławszy dla obrony pani Wandy jednego z bojowców, usiadł przy radnym stole z głową, opartą na dłoni. Przykre myśli wirowały w tej jego młodej, optymistycznymi teoriami nadzianej, głowie, jak kupa pierza, rozbita skrzydłem wichru. Latały w niej doktryny, marzenia, nadzieje, potracając się o pierwsze rozczarowanie. Cała krew zbiegła się do jego mózgu, zalewając go warem. W jego ładnej duszy bladł promienny ideał wiary w dobroć natury ludzkiej, jaki przyświecał jego działalności rewolucyjnej.

– Nie masz się czym martwić – pocieszał go Drwicki. – Powiesimy najzuchwalszych rabusiów i będzie spokój.

Były nauczyciel ludowy, ocierający się na wsi przez szereg lat o brutalność natur pierwotnych, znał człowieka lepiej od szlachetnego utopisty, opanowanego przez doktryny a priori, wiedział, że bezwzględna siła przerazi swawolę zbrodni.

– O bandytów mniejsza – mówił – z tymi załatwią się rychło brauningi i postronki. Więcej, niż bandytów, obawiam się zawiedzionych nadziei wielkich tłumów.

Utopijski spojrział zdumiony na Drwickiego.

– Wszystkie nadzieje wielkich mas spełniły się już – rzekł. – Nasze zwycięstwo zdjęło z nich samolubną, miazdzącą rękę wyzysku.

– Tak się wam, młodym ludziom, zdaje, mnie zaś zdaje się, że lwia część naszej pracy dopiero teraz się rozpocznie. Ale o tym potem. Zobaczymy, jak się nowe stosunki ułożą. Teraz radźmy nad środkami zawładnięcia majątkiem społeczeństwa, bo od tego trzeba zacząć robotę organizacyjną, jeśli mamy ustanowić dokładny budżet. Trzeba obliczyć

ilość i rodzaj istniejących sił roboczych, środków do pracy, odziedziczone po dawnym porządku zapasy i oznaczyć te artykuły, które są w pierwszej chwili najpotrzebniejsze, abyśmy nie popełnili błędu ustroju burżuazyjnego, którego tak zwana ślepa produkcja, nie uwzględniająca potrzeb chwili, wywoływała co pewien czas kryzysy przemysłowe i krachy bankowe. Nam, socjalistom nie wolno błędzić błędami w chciwości swojej ślepych burżujów.

Komitetowcy radzili nad sposobami uspołecznienia całego majątku kraju, bojowcy staczali zacięty bój z bandytami, a pani Wanda płakała.

Płakała łzami trwogi i bólu.

Z ulicy wlewała się przez otwarte okna do jej zacisznego gniazda przez całą noc wrzawa walki: odgłos strzałów, łoskot młotów, krzyk, klątwy, tupot goniących i uciekających nóg, odzianych w ciężkie buty z cholewami. Wrzawa ta grała na jej nerwach, jak gra namiętna ręka na strunach cytry. Wibowały bezustannie!

Wprawdzie bronił osoby żony gospodarza bojowiec Lis, siedzący na balkonie z dwoma brauningami, gotowymi do strzału, ale cóż znaczył choćby najodważniejszy człowiek wobec wściekłości rozjuszonego tłumu? Lada chwila mogła drapieżna gromada runąć na jej dom, zburzyć jej uroczne gniazdko, a ją samą znieśliwić. Czytała przecież w gazetach nie raz, nie dwa, o rozpuście bandytów.

I w takiej to ciężkiej chwili opuścił ją Utopijski, rzucił ją na pastwę dzikości zbrodni. Mówił coś o obowiązkach społecznych, idących przed prywatnymi... Cóż kobietę kochającą, dla której miłość była w tej chwili najwyższym celem, najgłębszą treścią życia, mogły obchodzić jakieś obowiązki społeczne? Ona chciała kochać i być kochaną, pragnęła, aby cała dusza jej kochanka, każda jego myśl należała tylko do niej.

Obowiązki społeczne? Nie rozumiała ich ładna i młoda samica, pożądająca tylko narkotyku szału zmysłowego, nie umiała się wznieść do ich niesamolubnych wyżyn natura przeciętna, która nie płonęła nigdy świętym ogniem talentu i entuzjazmu.

Obowiązki społeczne? Niech się tymi andronami zajmują stare dziady, spróchniałe niedołęgi, niezdolne już do kochania, Ale on, Edmund Utopijski? Taki młody, przystojny, namiętny, kipiący pożądaniem? On powinien być przy niej, w chwili, kiedy jej życiu, jej czci zagrozało niebezpieczeństwo. Miała do niego prawo, oddała mu się przecież cała,

bez zastrzeżeń, zerwawszy śmiało wszystkie pęta, wszystkie stosunki, jakie ją skubały ze światem, do którego należała pochodzeniem i wychowaniem. A on poświęcał ją dla jakichś tam obowiązków społecznych...

Pani Wanda płakała gorzkimi łzami rozczarowania. Nie o takiej miłości marzyła.

I zaczęła tracić zaufanie do nowego porządku, który jej zabierał kochanka.

III.

Wschodzące słońce oświeciło puste, ciche, uśpione ulice. Wódką, winem, miłością i tryumfem znużeni zwycięzcy spali kamiennym snem wyczerpania. Tylko na zbiegach ulic i na placach stali bojowcy po dwóch, pełniąc służbę zniesionej policji.

Po nocy pogodnej nastał wietrzny poranek. Szumiały z cicha drzewa i drzewka w Alejach Ujazdowskich, Jerozolimskich, na ulicy Marszałkowskiej, na skwerze Mickiewiczowskim, na placu Teatralnym, nucąc ostatnią, pożegnalną pieśń wisielcom, kołyszącym się na ich gałęziach.

Dużo tych biedaków przyplącało chciwość kruków albo niedobrze strawioną doktrynę socjalistyczną gardłem. Bojowcy nie próżnowali nocą. Drzewa i latarnie przystroili bandytami, złodziejami, rabusiami i Bogu ducha winnymi pauprami⁸, którzy, uwierzywszy, iż nastał czas bezkarności, dozwolonej gospodarki w cudzych domach, chcieli sobie teraz raz w życiu użyć.

Krwawa energia bojowców zmiotła z ulic całą czeladź grzechu. Pierzchło hultajstwo po krótkim oporze, rzucając łup, rozsypując się z przeraźliwym krzykiem po zaułkach, zapadając w kryjówki i nory przedmiejskie. Prawodawstwo burżujów posługiwało się nudnym, kosztownym aparatem sędziów śledczych, badań, przesłuchań, protokołów, sądenia, obrony, wyroków i apelacji, do czego krewcy zwycięzcy, zaprawieni w samosądach, nieznających zwłoki, do błyskawicznej szybkości, nie mieli ani czasu, ani ochoty. Za kark i na latarnię, na gałąź, albo kulą w łeb, i – stało się zadość sprawiedliwości.

Pierzchła w przerażeniu drapieżna hołotka, zapadła w najgłębsze nory, w najskrytsze kryjówki, zmiarkowawszy, że z nowymi panami nie ma żartów. Za dawnych rządów można było jeszcze drapnąć z ula, wyłgać się na sądach; w najgorszym razie posiedziało się jakiś czas w kozie, albo powędrowało się na daleką północ, skąd odważniejszemu udawało się nieraz wrócić do domu... A z tymi nowymi władcami ani sposób się dogadać... Strzyzek na kark i jazda na drugi świat!...

⁸ pauper daw. – człowiek ubogi. Słownik języka polskiego PWN.

Padł błady strach na amatorów cudzej własności. Majątek społeczeństwa był ocalony.

Wysoko już na niebie stojące słońce krzeszło z krzyżów wież kościelnych złote iskry, a ulice były jeszcze puste. Dzwony fabryk nie wzywały robotników do warsztatów, oficjałści sklepów i biurów nie mieli potrzeby spieszyć na stanowiska, opuszczone przez burżujów, – wielkie pracownie nowego porządku nie były jeszcze w ruchu. Lud mógł sobie używać długiego wypoczynku pod pierzyną.

Był już jasny dzień, kiedy na główne ulice zaczęły się wysuwać z bocznych, prowadzących nad Wisłę, na przedmieścia i do dzielnic żydowskich, kobiety z gmin. Szły, omijając ostrożnie bojowców, trzymając się chodników. To matki, żony, siostry, dzieci i kochanki szukały na latarniach i drzewach synów, mężów, braci, ojców i kochanków. Ta i owa poznała swojego. Na widok ohydnych, zeszepeczonych, sinych trupów stawały w pierwszej chwili nieruchome, jak porażone. Potem odezwały się tłumione łkania, nabrzmiewające w głośny płacz. Najwzraskliwiej zawodziły Żydówki. Otoczywszy swoich bliskich gromadkami, rwały sobie włosy, darły na sobie suknie.

Jęczały ulice płaczem niewiast i dzieci, drgały w konwulsjach bezsilnej rozpacz. Obojętnie przypatrywali się bojowcy temu smutnemu pogrzebowi nędzy i grzechu.

Nareszcie zaczęły się główne ulice miasta powoli zaludniać. Tłumy socjalistów ciągnęły chodnikami, przypatrując się wisielcom z ciekawością gapiów wielkomiejskich, bawiących się każdym niezwykłym widowiskiem. Nie zabrakło i dowcipnisiów brukowych.

O, jak to wybałuszył ślepie, jakby nigdy żywych ludzi nie widział – odezwał się jakiś chłopak (ujął nogi wisielca i wprawił ciało w ruch). – Pohuśtaj się trochę na świeżym powietrzu, bo to już ostatni raz.

Śmiech gapiów wynagrodził humor chłopaka.

– Dałbym ci kawał kiełbasy na drogę, ale tak ożór wywaliłeś, że nie wiadomo, gdzie wetknąć.

– Ha, ha, ha! – ryczało otoczenie.

Nie wszyscy jednak bawili się cynizmem łobuza. Jakiś robotnik odezwał się:

– Nie uragałbyś wisielcom, szczeniaku, bo nie wiesz, czy nie będziesz sam dyndał. Głodne psy cię wychowały czy kruki, że pastwisz się nad trupami?

„Szczeniak” chciał parsknąć nowym dowcipem brukowym w oczy swojemu krytykowi, ale zmienna wrażliwość tłumu, ulegająca bez przejścia każdemu wpływowi, odwróciła się od niego.

– Po karku bezbożnego kundla! – rozległa się groźba.

Bezbożny „kundel”, nie czekając na jej wykonanie, dał nura w gromadę chłopaków i, przepruwszy ją z szybkością szczupaka, znikł.

– Trochę za ostro zabrali się bojowcy do tych biedaków – mówił ów uczciwy robotnik. – Nie wszyscy zasłużyli zaraz na stryczek albo kulę. Trzeba było powybierać co gorszych, a reszcie wlepić, gdzie należy, kopę bizunów⁹, i puścić ich do domu.

– Gadacie, panie Antoni, jak gdybyście nie wiedzieli, że nasz zarząd nie ma teraz czasu do przebierania rabusiów niby grochu – bronił zarządu jakiś żarliwy zwolennik nowego porządku. – Kto się tam będzie zajmował śmieciami, kiedy trzeba od nowa cały dom przebudować? Wielka szkoda, że złodziejom trochę juszki upuszczono...

– Krwi ludzkiej zawsze szkoda, – odparł Antoni. – Nie ludzie ją stworzyli. A i ci bojowcy? Po co oni stoją jeszcze na ulicach? Nowa policja, czy co? Zrobili swoje, niech sobie idą. Wiadomo jako nie ma być teraz nijakiej policji.

– Niech sobie idą! – szemrano dokoła.

Nienawistne spojrzenia szły w stronę bojowców.

– Lawirowi! Widzicie ich!

Od gromady do gromady szedł groźny pomruk pierwszego niezadowolenia.

Po mieście tymczasem latali woźni z ratusza i rozlepiali po pustych ścianach domów i na słupach do ogłoszeń ogromne, czerwone plakaty.

Zarząd ogłaszał ludowi:

– Z dniem dzisiejszym tracą wartość wszelkie pieniądze papierowe, listy zastawne, poświadczenia hipoteczne i książeczki oszczędności. Niech sobie burzuje i każdy, komu się to rozporządzenie nie podoba, wytapetuje tymi świstkami swoje kufry i szczęśliwej drogi! Z dniem dzisiejszym przechodzi wszelka nieruchomość, jako to: ziemia, domy,

⁹ bizun daw. – bat z byczej skóry albo uderzenie batem. Słownik języka polskiego PWN.

fabryki, kopalnie, koleje żelazne, wodociągi, gazownie, tramwaje, elektryczność, telegrafy, telefony, warsztaty, maszyny, narzędzia, meble, sprzęty domowe itp. na własność społeczeństwa. By zarząd mógł sobie wytworzyć w jak najkrótszym czasie pogląd na cały majątek społeczeństwa, uprasza się towarzyszków i towarzyszek o nadesłanie w przeciągu trzech dni z Warszawy a w przeciągu dziesięciu dni z prowincji, z miast i wsi, dokładnego spisu wszystkich wymienionych powyżej nieruchomości. Oprócz tego uprasza zarząd towarzyszków i towarzyszek o natychmiastowe złożenie w warszawskim ratuszu wszystkich złotych i srebrnych monet i złotych lub srebrnych naczyń, noży i widelców, jakie by się jeszcze w kraju znajdowały nie skradzione społeczeństwu przez uciekających burżujów. Wzywa się w imieniu szczęścia społeczeństwa wszystkich towarzyszków i towarzyszek o uczciwe wiadomości.

Tłumy gromadziły się przed plakatami, ciekawe rozporządzeń zarządu. Nie wszyscy rozumieli od razu, o co właściwie chodzi. Gdy jednak członkowie byłych organizacji socjalistycznych, których się w każdej grupie znalazło po kilku, wyłożyli nieświadomym słuchaczom rozporządzenia i zamiary zarządu tak jasno, posługując się gwarą i pojęciami ludu, iż nawet dziecko mogło zrozumieć, że trzeba oddać w ręce centralnego komitetu wszystko, co ktokolwiek posiada, wywołał manifest nowej władzy szczególnego rodzaju skutek. Na ulicach przed plakatami zostały tylko nieliczne grupy, składające się z samych nędzarzów, których cały majątek stanowiły; połatana kapota i dziurawe buty; reszta uciekała w milczeniu, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo, jak gdyby ich czarna śmierć gonila!

Pędziły na oślep kobiety stare i młode, szwaczki, robotnice, kucharki, stróżki.

Leciała razem z innymi jejmość pani Dyndalina, niewiasta krępa, przysadzista, z rękami, stworzonymi do ubijania kapusty w beczce. Chustka spadła jej z głowy na ramiona, włosy jej się rozplątały od szybkiego biegu. Wpadła do suterenu małego domku na Tamce, gdzie mieszkała w niewielkiej izbie z mężem i czworgiem dzieci. Nie zwracając uwagi na Dyndałę, który kurował się właśnie po wczorajszej libacji, wylewając sobie na głowę kubek zimnej wody, ukłękła cała zdyszana przed dużym, zielonym kufrem i zaczęła w nim czegoś szukać drżącymi rękoma. Wydobywszy spod różnych gałganów skórzany woreczek, schowała go pod koszulę, na piersiach.

– Nie dam, – odezwała się, ocierając fartuchem pot z czoła. – Żeby mnie mieli porąbać na sztuki, żeby mnie mieli rwać obcęgami, nie dam. Polityki, wydrwigrosze, złodzieje! Na to odejmowałam sobie od gęby, chodziłam w łatanej spódnicy, opierałam bieliznę po cudzych domach, żebym miała oddać moją krwawicę, co ją zbierałam na czarną godzinę? Niedoczekanie ich! Widzicie ich, oszukańców. Tak to psiarstwo obiecywało gębą, sypało dobrami niby plewą, a teraz to przykazują biednym ludziom: wytocz z siebie krew i oddaj wszystko!

Dyndała, wytrzeźwiony więcej gniewem połowicy, niż kubłem zimnej wody, odezwał się potulnym głosem męża, który czuł, że zawinił wczoraj przeciw subordynacji domowej:

– Komu to tak urągasz, Magduniu? Czy cię kto obraził? Ho, ho, niechby tylko śmiał!

Wyprężył swe żylaste ramiona, podwijając rękawy koszuli, jakby się już gotował do obrony honoru żony.

– Komu? Tym twoim majstrom, co cię przez pięć lat wodzili na pasku mądrej gadaniny i namawiali do grzechu, a teraz to chcą twojej ślubnej żonie wydrzeć jej świętą krwawicę, oblaną potem. Ale niech przyjdą! Miotłą ich przywitam, ślepie im wydrapię.

– Kto ci chce co wydrzeć?

– To ty nic nie wiesz? Rozumie się. Schlałeś się wczoraj na tym waszym jakimś psim święcie, jak ten bąk na końskim grzbiecie, żeby mi tego więcej nie było, słyszysz? To co ty możesz wiedzieć?

Urywanymi zdaniem opowiedziała Dyndalina mężowi treść rozporządzenia zarządu.

– I cóż ty na to, mądralo?

Dyndała, jako że należał do uświadomionych towarzyszków, był nawet dzielnym bojowcem i powiernikiem przywódców, nie zdziwił się wcale nowinie, która pobudziła Dyndalinę do takiego gniewu.

– Nie masz się właściwie o co gniewać, Magdusiu – tłumaczył, cofając się przed gorejącymi z namiętności oczyma małżonki przezornie za stół – bo to wszystko dzieje się dla naszego dobra, dla dobra biednych ludzi. Zarząd zabiera tym, którzy coś mają, aby oddać tym, co nic nie mają, żeby wszyscy mieli po równości, jako powinno być na świecie.

– To niech sobie zabiera komu innemu, a nie mnie. Mało to w Polsce Żydów? Niech zabiera tym poganom nawet pierzyny, a niech nie tyka narodu katolickiego.

Dyndała chciał odpowiedzieć, że teraz nie ma już katolików, lutrów i żydów, jeno są sami towarzysze, ale ponieważ jego wykłady w tym kierunku kończyły się zawsze polemiką na pięści, a wczorajsza libacja, łażąca mu jeszcze po kościach stopionym ołowiem, usposobiła go ugodowo, przeto wołał się salwować wymijającym frazesem.

– No, no, nie martw się, stanie się wszystko wedle sprawiedliwości. Nasz zarząd nie skrzywdzi nikogo. Socjalisty, to nie burzuje. O biednym narodzie tylko myślą.

– Ślicznie myślą o biednym narodzie, kiedy każą mu oddawać ostatni grosz, uciulany na czarną godzinę, żeby go oddać innym. Komu? Pewnikiem onym nygusom, pijakom, złodziejom, co zamiast pracować, woleli leżeć do góry brzuchem, chlać gorzałę, kurzyć papierosy i oglądać się tylko na dobrych ludzi, żeby im co w garść kapło.

– Na co nam teraz pieniądze, kiedy społeczeństwo nasypie nam w miskę, co potrzeba, opierze nas, ubierze, wychowa nam dzieci i wszystko – próbował jeszcze Dyndała przekonywać żonę.

Ale pani Dyndalina miała swoje własne pojęcia o społeczeństwie.

– Idź ty ze swoim społeczeństwem do paralusza¹⁰, – mówiła. – Tyż królowie, a jakże. Same golcy, oberwusy, drapichrusty. Czy ich to nie znam, tych twoich majstrów? Rublem nigdy nie śmierdzieli i dlatego tak wydziwiali na burżujów. Nasyp im do kabzy złotka, a zobaczysz, jak będą nosa zadzierali. Niedługo będzie panowania tego twojego społeczeństwa. Jeszcze mi podziękujesz, że uratowałam owe dwieście rubli w złocie, com je sobie i dzieciom od gęby odjęła.

Dyndała przymknął drzwi i okna z obawy, żeby czasem kto nie podsłuchał herezji antysocjalistycznych jego żony. Jakiś lizus mógłby go zadenuncjować do zarządu, że nie umiał żony uświadomić, i wypadłby z łaski panów komitetowych. On sam, gdyby jakaś inna niewiasta tak urągała społeczeństwu w jego obecności, zamknąłby jej gębę kułakiem, własnej jednak ślubnej żony nie mógł przecież bić o byle co. Lubił zresztą tę swoją wygadana Magdusię. Pyskata była, bo pyskata, w pięści za szybka, ale kobieta robotna, dobra matka i rządna gospodyni. Takiej

¹⁰ do paralusza – rodzaj przekleństwa (Na co to okno otwarte, do paralusza?), paralusz, daw. paraliż. Słownik języka polskiego pod red. W. Doroszewskiego.

to trzeba wiele przebaczyć. Nie chcąc przedłużać niebezpiecznej dysputy, w której jemu, prawomyślnemu socjaliście, nie było wolno brać udziału, włożył czapkę na głowę i szukał laski.

– Wychodzisz? – zapytała Magdusia.

– Zobaczę, co się dzieje w mieście.

– Żebyś tylko nie wrócił do domu schlany, jak wczoraj, bo cię sama wytrzeźwię. A zapytaj tam w ratuszu, kiedy nam oddadzą na mieszkanie tę willę, cośmy ją sobie upatrzyli. Niech nie marudzą. Ogród zmarnuje się na nic bez robotnej ręki.

Równocześnie w tysiącach ubogich mieszkań rozgrywały się takie same sceny, jakie w izbie Dyndałów. Kto posiadał w domu jakie oszczędności lub jakie naczynia z drogich kruszców, – rzemieślnicy, sklepikarze, urzędnicy, nauczycielki, kucharki, robotnice – starał się je ukryć przed chciwym okiem zarządu. Zakopywano pieniądze w piwnicach, w ogrodach, nad Wisłą, pracowano z gorączkowym pośpiechem, cicho, w milczeniu, ostrożnie, aby jakiś szpieg nie dostrzegł tej przeciwspółecznej roboty. Najgorliwiej krzżeli się Żydzi, ukrywający wszystko, co się tylko dało ukryć, chociaż oni to wykrzykiwali przed rewolucją najgłośniej: precz z własnością prywatną!

Przed kasą oszczędności gromadziły się tłumy, wołające głosem rozpaczliwym: oddajcie nam naszą krwawicę, nasz pot, nasze życie! A kiedy je bojowcy rozproszyli, ciągnęły przed ratusz z łoskotem burzy.

Tym wszystkim biednym ludziom nie mogło się w głowach pomieścić, że ktoś posiada prawo pozbawić ich długoletnich oszczędności. Socjalizm pojęli jako walkę ubogich z bogatymi. Zwycięstwo socjalizmu miało zepchnąć byłych kapitalistów w niziny proletariatu, ich zaś, proletariat, wynieść na jasne wyżyny dostatku. Odebrać bogaczom ich bogactwa i oddać je im, wydziedziczonym dawnego porządku – było, według nich, treścią socjalizmu. Doktryny socjologiczne Marksa, Lassalle'a, Bebla, przeszły obok nich, jak przechodzi brzęk muszek leśnych obok wysokopiennych sosen. Nie wsiąkły w ich mózgi, niezrozumiałe dla nich. Wyssali oni z nich tylko to, czego pragnęło ich ubóstwo, ich żądza użycia życia i chciwość; zrozumieli tylko najgrubsze, najjaskrawsze hasła, przemawiające do ich głodnych wiecznie apetytów, rzucające się same w oczy.

Ratusza strzegł podwójny łańcuch bojowców, gotowych każdej chwili do oczyszczenia placu Teatralnego. Przyłączyła się do nich wielka

gromada pauprów płci obojga, stojących wiernie przy nowym rządzie, bo nie mająca nic do stracenia, a wszystko do wygrania.

– Co tam wrzeszczyta! – wołał jakiś drab znad Wisły. – Kiej wam u nas niedobrze, to wynośta się z tymi złodziejami burzujami. Obędziemy się bez was, będzie nam luźniej w Warszawie. Tyż zmartwienie, ojej...

– Widzisz go, andrusa, jaki pyszny, że sobie przypiął czerwone piórko do podartego czapczyska – odpowiedziała mu jakaś stara kucharka skrzekliwym głosem odzieranej ze skóry wrony. – Jednera! A kaj to twój pałac, wycierusie, że nas wypędzasz z Warszawy? Pod krzaczkami nad Wisłą, albo w lulu na Pawiaku? Cie wy, żeby nam taki grandziarz uragał i mówił „u nas”, nie przymierzając niby usiedziały ślachcic.

– Lepszy ja teraz ślachcic od hrabiów, bom socjalista – odparł drab.

Z góry, z pierwszego piętra ratusza przypatrywał się rozkołysanemu tłumowi Utopijski. Błądą twarz przywarł do szyby okna i spoglądał smutnymi oczami na tysiące głów, wypełniających szczelnie cały plac Teatralny.

Był śmiertelnie znużony. Całą noc pracował z kolegami, a kiedy się oni udali na spoczynek, on czuwał, czekając na raporty dowódców bojówki. Został przy nim tylko Drwicki.

Słyszał przez całą noc na placu krzyki, jęki i charkot wieszanych, a kiedy słońce zdjęło zasłonę z dzieła bojowców, widział ich trupy.

Teraz roilo się przed nim ogromne mrowisko ludzkie, a z tego mrowiska wylatywały pod górę, ku niemu wołania nienawiści: złodzieje, rabusie, oddajcie nam nasze oszczędności; nie wasz pot je rosił, nie wasze ręce wydarły je z paszczy nędzy! Kto wam pozwolił rozporządzać się cudzą krwawicą?

Krople zimnego potu wystąpiły na jego czoło, wilgotna mgła przesłoniła jego oczy. On złodziej, rabuś, przeklinany przez ubogich, których tak serdecznie miłował, których szczęścia tak gorąco pragnął? Nie rozumieją ci biedni ludzie, że wszystko, co się dzieje, dzieje się tylko dla nich, że ich drobne oszczędności są nędzą w porównaniu z dobrobytem, jaki dla nich nowy porządek przygotowuje?

Jakże ich przekonać, że rozpaczają bez potrzeby?

Spojrzał na Drwickiego, wskazując ręką tłum. W ruchu tym było pytanie.

– Rozpędzić! – rzekł Drwicki.

Żachnął się Utopijski.

– Nie, nie, dosyć tej krwi i tych gwałtów. Niech wybiorą deputację: stu, dwustu, ilu chcą, niech ta deputacja przyjdzie wieczorem do Filharmonii i przedstawi nam swoje żale. Nie wątpię ani na chwilę, że przekonamy niewiernych Tomaszów.

– Spróbujmy – mruknął Drwicky z niewiernym uśmiechem na ustach. – Ty zdrzemnij się teraz trochę, bo trzymasz się za ledwie na nogach, a ja załatwię, co trzeba.

**Chcesz wiedzieć co było dalej?
Zobacz tutaj:**



KLIKNIJ

**Lub wejdź na
www.sklep.magnapolonia.org**